ROK CZWARTY.

—

№ 8.

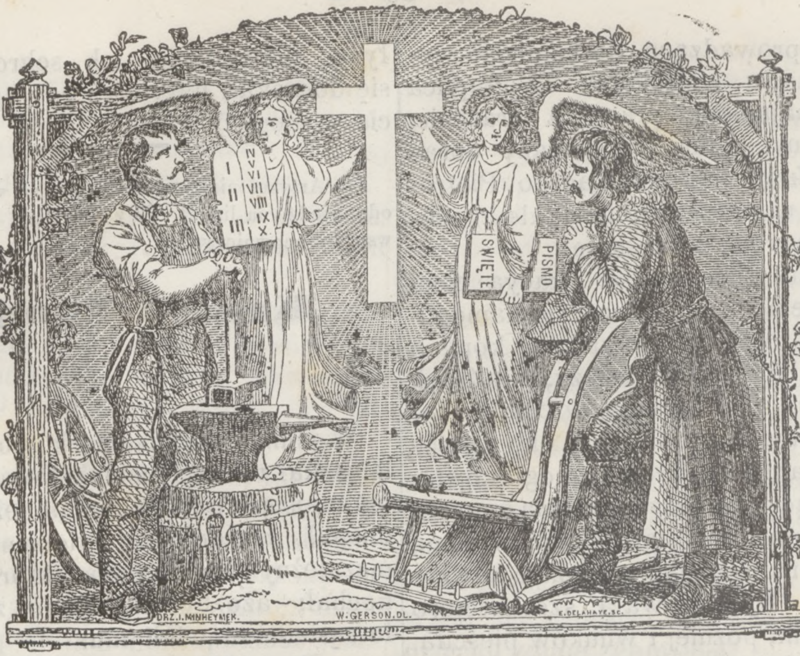
WARSZAWA

D. 8 (20) Lutego

1859.

Niedziela

Starozapustna.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.‘ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie! racz łaskawie wysłuchać modły ludu twego; niech którzy sprawiedliwie za grzechy utrapieni jesteśmy, z miłosierdzia, dla chwały Twego Imienia wybawieni będziemy. (Kollekta na Niedzielę Starozapustną).

Cmentarz wiejski. (1)

(Artykuł nadesłany z Krzywicy z W. X. Poznańskiego.)

—

Dzięki Bogu, który wlewa do serca wiernych gorliwość o służbę Jego, wiejskie kościołki nasze coraz się podnoszą i upiększają; niejeden z uboższych parafian rzuci grosz wdowi na tackę, gdzie bogatszy sztukę srebra położył; niejeden proboszcz ostatnie zasoby poświęca na światło, a kollator darami i ozdobami wzbogaca zakrystyę, i tak godniej, solenniej nabożeństwo się odbywa, więcej jeszcze do serca przemawiając.

Ale obok tego polepszenia widzimy jeszcze brak starania około cmentarzy; nie jestże to jednak miejsce, gdzie powinnibyśmy łagodzić smutny obraz śmierci; nie jestże to miejsce, gdzie i pozagrobową pamięć wyświadczyć możemy istotom zmarłym, a drogim sercu naszemu? Ale nie, u nas cmentarz nie wygląda jak pole błogiego spoczynku, ale raczej jak opustoszała łąka, gdzie w nieporządku pochowano obce kości.

Jakimże bowiem zazwyczaj jest nasz cmentarz? Nieoparkaniony, zaledwie nieznaczny wał dzieli go od pola; mogiła z mogiłą się styka i miesza, chwast, nie trawa zarasta, drzewka, a nawet krzyżyka często tam nie dojrzysz. Stoi wprawdzie na środku spruchniała Boża-męka, ale nieobsadzona, psuje się i lada wiatr ją nachyla. Furtka kołkiem założona, oto wejście; pozarastana ścieszka prowadzi przez środek, i tak tu smutno, ale nie tą tęsknotą, co o Bogu mówi, ale smutkiem śmierci i zwątpienia. Są wprawdzie przykłady starannie urządzonych cmentarzy, ale niestety! jak rzadkie.

Zapomnieć nie mogę cmentarza we wsi O....... położonego. Niewielki, opasany kamiennem ogrodzeniem i świerkami, cały był zasiany bujną zieloną trawą; środkiem

szła ścieszka prowadząca do kapliczki wystawionej z zapisu wieśniaka. Ta kaplica acz skromna, najmilsze sprawiała wrażenie; ołtarz drewniany, dobrze malowany obraz świętego Stanisława wskrzeszającego Piotrowina, wszystko ubogie i skromne, ale chędogie i znać pobożną ręką wzniesione.

Po cmentarzu gdzieniegdzie akacya cieni grobowce, gdzieniegdzie wznosi się namogilny krzyżyk. Tu dwa równie zielone kopce i krzyżyki noszą imie dwóch księży, z których jeden padł ofiarą poświęcenia w czasie cholery, co tu grasowała; tam dalej oko i serce ściąga tuż przykapliczce skromna mogiła, o której oprowadzający zakrystyan rzewną opowiada historyę. Tu spoczywa staruszka niewidoma od powicia, która zostając w służbie zawsze jednej rodziny, wypiastowała szesnaścioro dzieci swojej pani; później i wnuków pieściła. Prostą była wieśniaczką, ale dziwnie rozwinięte było jej pojęcie i życie duchowe; każdy ją kochał i nawet po zgonie nie zapomniano imienia Jadwigi. Dla niej to jeden z wieszczów naszych, Franciszek Morawski następny ułożył napis grobowy:

Bez szemrania na losy, choć ciemna z powicia,
Przeszła kornie z swym krzyżem całą drogę życia;
Żyła w pracy, czystości, wierze, modłach, skrusze,
Noc jej oczy zalała, Bóg rozjaśnił duszę.

Jeden jeszcze szczegół zwraca uwagę w tym tak uroczym cmentarzu, a tym są trzy wysokie mogiły, gdzie cholerycznych wspólnie pochowano.

Każdy wychodząc z tego cmentarza, czuje się pocieszonym, uspokojonym; śmierć tu przedstawiona, jaką jest w istocie dla wierzących: odpoczynkiem po trudach i cierpieniach tego żywota. Tutaj wszystko mówi o nieśmiertelności duszy, o wieczystych nadziejach, gdy natomiast po innych spustoszałych cmentarzach wszystko zda się odzywać tylko o śmiertelności ciała, które tu rzucono na pastwę robaków i zgnilizny.

Oby te krótkie wyrazy zdołały zwrócić uwagę waszą czytelnicy, na cmentarze mniej dobrze utrzymywane; obyście serdeczną pomocą ostatnie przysługi oddawali umarłym, pielęgnując ich schronienia, a sami się doczekali nagrody, gdy spokojnie zaśniecie w mogile!

---

(1) Artykuł niniejszy umieszcza się w piśmie naszem jako odpowiedź na list P. K. z Krzywicy, i jako wezwanie do współ-pracownictwa. P. R.

Kupiec z Piwnej ulicy.

I.

W jednem z miasteczek gubernii Lubelskiej mieszkał tkacz, imieniem Maciej, dobry i gorliwy majster. Wiodło mu się też dobrze, bo nie dospał, nie dojadł, byle zapracować na byt niezależny żony i syna, których serdecznie kochał; aże był nietęgiego zdrowia, bywało sąsiedzi mawiali mu:

— Panie Macieju, zanadto pracą siły targacie, a później co będzie?

— A niech tam, niech, odpowiadał poczciwiec; póki czas, trzeba pracować, byle stało żonie i dziecku po mej śmierci, żeby nikomu później drogi nie zawalali i choć dobrze z czasem człowieka wspomnieli.

To też po kilkunastu latach takiej gorliwej pracy, zebrał sobie Maciej pięć tysięcy złotych gotówki, i chleba było dostatkiem, ciepły domek z ogródkiem i gruntami, dobytek nielada, i sąsiada starczyło czem uczciwie uraczyć. Ale gdy biedak dorobił się tyle, że już mógł pofolgować uciążliwej pracy, zachorował i niebawem trzeba było gotować się na daleką drogę wieczności. Widząc Maciej zbliżający się koniec, po świętej spowiedzi przywołał żonę płaczącą, i rzekł do niej:

— No moja Jagusiu, trzeba się nam pożegnać; pracowałem na was gorliwie, nie zdradziłem w niczem, to i w godzinę śmierci potwierdzić mogę. Zostawiłem ci w kuferku pięć tysięcy złotych z okładem, dobytek nielada, i gruntu kawał pięknego. Moja Jagusiu strzeż tego jak oka w głowie, nie zmarnuj złym rządem; niech nasz syn Wicuś ma po rodzicach pamiątkę i z czasem nie patrzy na cudze ręce. A niech ci tam nie zamarzy się pójść za mąż, bo jakbyś złapała jakiego świszczypałę, coby zmarnował to, na co tyle lat ciężko harowałem i jeszczeby nikczemnik nad tobą i dzieckiem znęcał się, a toćbym po życiu mozolnej

pracy i w grobie wtedy pokoju nie dostąpił. A Wicuś gdy się nauczy z łaski X. wikarego dobrze religii, czytać, pisać, rachunków, niechaj się weźmie do jakiego uczciwego rzemiosła.

I to domawiając majster już z siniałemi ustami, począł słabnąć i niebawem oddał Bogu ducha.

Lamentowała strasznie przy ciele pani Maciejowa, całowała ręce i nogi. Powróciwszy zaś do domu, chodząc po kątach, zawodziła płaczem; płakał i ośmioletni Wicuś ojca pocichu, w kąciku, ale serdecznie.

Nie wyszło kwartału od śmierci tkacza, a młodzież zwąchawszy gotówkę u wdowy, poczęła słać doń swaty; ale się jakoś z początku pani Maciejowa wzdragała, lecz gdy się żal trochę umitygował, poczęła rozważać: że sama kobieta gospodarstwu nie podoła, choć jej rozważne sąsiadki przedstawiały panią Kowalskę stolarkę, co sama już lat dziesięć od śmierci męża rządzi się dobrze, przyrabiając z każdym dniem majątku dzieciom. Pani Maciejowa na to wszystko odpowiadała tylko:

— O już ja tam nie dokażę tego, nie podołam sama pracy, to darmo. Nie wy to z nim żyć będziecie, bies was prosi o rady; a jakby mi chleba zabrakło, dał-ciby kto z was?

I niedobra kobieta zapomniawszy o najpoczciwszym mężu i jego radach, w niespełna rok po jego zgonie wybrała sobie młokosa, dwudziesto-letniego próżniaka, pędzi-wiatra, takoż tkacza, co niby, jak mówiła, zasiądzie przy warsztacie nieboszczyka.

Po ślubie młodzik z początku schlebiając małżonce, objął pomału rządy, a dalej i klucz od gotówki, i swoboda pani Maciejowej skończyła się niedługo. Bo rozpustnik dopadłszy gotowego grosza, nie wiedział, jakiemi nogami chodzić; hulał, pił, po jarmarkach latał, robotę zaniedbywał, grosz nierozważnie trwoniąc, a gdy mu tego wszystkiego opatrzywszy się żona, wzbraniać poczęła, zrodziły się kłótnie, dalej bitwy, i owo domostwo, gdzie poprzednio szanowano przykazania Boże i spełniano je co do joty, zamieniło się w istne piekło. Wicuś widząc znęcanie się nad matką, w krzyk nieraz straszny uderzał, i biedak jak mógł, zasłaniał ją sobą od razów pijanego męża; ale z czasem i on stał się istnym męczennikiem. Bił go przybrany ojciec byle za co, że chłopczyna począł z domu uciekać, kryć latem po stogach i krzakach, żyjąc jagódkami, a zimą po chałupach sąsiedzkich, bo do takiej już przyszło zgrozy, że sąsiedzi nieraz wpadali i rozbrajali bijących się małżonków, lub z rąk niemiłosiernego człowieka wydzierali pokrwawionego dzieciaka, którego nieraz cucić musiano z omdlenia.

Pani Maciejowa (bo już ją podawnemu zwać będziemy) żałując zapóźno swego nierozważnego kroku, chciała przynajmniej dziecię biedne od nieomylnej śmierci ochronić; poszła do sąsiada, który kożuchy woził na przedaż do Warszawy, i prosiła, by go wziąwszy z sobą, postarał się dla niego o jakie miejsce w Warszawie.

— A co, rzekł stary Grzegorz, nie mówili wam: nie chodźcie za młokosa, bo i sobie i dziecku zgubę zgotujecie?

Nic na to nie odpowiedziała pani Maciejowa, tylko zalała się gorzkiemi łzami. A gdy biedny dzieciak, wygnaniec z rodzicielskiego domu miał już siadać na wóz z Grzegorzem, nieszczęśliwa matka porwawszy go w swoje objęcia, ściskała, zanosząc od płaczu i wołając:

— Wygnała cię własna matka z domu, zaprzedała twoje mienie, byś u ludzi szukał kawałka chleba, choć ci go poczciwy ojciec poddostatkiem zostawił.

— Dajcie już pokój, mówił rozczulony Grzegorz; nic płaczem nie poradzicie, bo co się stało, odstać nie może, a dzieciaka Bogu powierzcie, bo jeszcze żadnej sieroty jak świat światem nie opuścił.

— Nie płaczcie matulu, mówił Wicuś, siedząc już na wozie, i czekajcie cierpliwie, jak dorosnę i podzielę się z wami chlebem, na który postaram się zapracować.

I odjechał biedny chłopczyna, by jeść ów chleb obcą podawany ręką, życzliwą i nieżyczliwą, jak się to zdarza na świecie. Płakał serdecznie, rozstając się z matką, tem więcej, iż wiedział, w jakiej ją niedoli zostawia. Z gruntu był to dobry chłopczyna, potulny, posłuszny, łagodny, pracowity; lubił go ksiądz wikary i wyuczył bojaźni Bożej, miłości bliźniego, tych świętych zasad religii, podstaw najsilniejszych szczęścia ludzkiego, a do tego umiał Wicuś i dobrze pisać, czytać i rachować.

Poczciwy Grzegorz za przybyciem do War-

szawy umieścił Wicusia w małym handlu korzennym na Pradze, gdzie właśnie szukano takiego chłopaka, o czem dowiedział się od stróża kamienicy, w której był ów handel, a dawnego znajomego. Ulokowawszy go tak, na odjezdnem dał mu poczciwy stary talarka ze swego skromnego zarobku, a kupiec zobowiązał się karmić i okrywać. Chłopczyna nie posiadał się z radości, coraz to wyjmował błyszczący pieniądz z kieszonki, raz pierwszy będąc panem takiej sumki, bo biedna matka nad dwa złote, które mu zaszyła w kieszonkę od surducika, nic dać więcej nie mogła, tak mąż młody przez trzy lata pożycia gotówkę zmarnował, ciężką pracą nieboszczyka zebraną.

Kwartał już był Wicuś w handlu i sprawował się jak najlepiej, gdy raz subjekt z tegoż sklepu, bez wiedzy swego pryncypała, bo pokryjomu, wziąwszy z piwnicy sześć butelek wina, zlecił Wincentemu, coś mu jeszcze z pieniędzy dla ujęcia go kładąc w rękę, zanieść je tak, aby nikt z domowników nie widział, do sąsiedniego domu w podarku. Wincenty pamiętny słów ojca swego, który mu przy każdej okoliczności powtarzał: nie bądź złodziejem, jeżeli chcesz mieć błogosławieństwo Boże i dobre słowo u ludzi, jeżelibyś zaś miał kiedy nim zostać, nie żyj lepiej, bym na shańbionego syna nie patrzał; również bacząc na to, jak ksiądz wikary, który go uczył religii, kradzież cudzego dobra za największy grzech uważać nauczał, bez namysłu odpowiedział subjektowi:

— Nie, ja tego zrobić nie mogę, nic kryjomo ze sklepu mego pana nie wyniosę, żebyś mnie pan złotem obsypał, a nawet i ubił na miejscu za nieposłuszeństwo, bo to wielki grzech przed Bogiem.

Zawstydzony subjekt nic zrazu nie odpowiedział, tylko się rumieńcem oblał z wielkiego wstydu, oczy w ziemię spuścił, nie śmiejąc spojrzeć na Wicusia; ale w niepoczciwem sercu zemstę dlań przygotował. I raz gdy tenże w wolnej chwili oglądał pieniądz, co dostał od Grzegorza, narobił łotr hałasu, że go kryjomo ukradł z kassy, przy której kluczy zapomniał; na takie więc oskarżenie przed pryncypałem, bez sprawy i sądu odebrano biednemu chłopakowi talara i wypędzono na ulicę, wzbraniając wstępu na próg kamienicy. Trudno było niedoświadczonemu i młodemu chłopięciu szukać sprawiedliwości, nie umiał jeszcze w tem sobie poradzić, choć serdecznie żal mu było pieniądza, który w poczciwem sercu na węgielny kamień składanego grosza dla biednej swej matki przeznaczał, żal przyszłości, która się przed nim otwierała; ale cóż było robić?, modlił się tylko Wicuś i płakał, włóczył po ulicach, nie wiedząc, co z sobą począć, a przejadłszy owe dwa złote zaszyte w kieszonkę przez matkę, widząc, że z głodu może umrzeć przyjdzie, począł za przykładem drugich chłopaków nosić na przedaż piasek wiślany, byle dnia na ciężkiem próżniactwie nie tracić i być w możności zarobienia na codzienne życie. Ale to mu nie szło jakoś; inni umiejętni w rodzaju tej przedaży, wprawni w zachwalenia białego piasku wiślanego, zbywali go z łatwością, gdy Wicuś nałaziwszy cały dzień po ulicach Warszawy, wracał częstokroć do nędznej chałupki ubogiego rybaka, gdzie mu pozwolono na nocleg kącika w walącej się sionce, w której się kładł, częstokroć płacząc serdecznie z dokuczliwego głodu.

— Co ci to, zapytał raz Antoni, także mały handlarz piasku, z którym się Wicuś zapoznał, czegoś taki mizerny, czyś chory?

Wincenty przyznał się towarzyszowi, że już dwa dni nie jadł.

— Choć zemną, rzekł Antek, ja ci zaraz dam jeść!

— Zkądże weźmiesz, zapytał, kiedy i sam, jak mi wiadomo, grosza dziś nie masz?

— Nie turbuj się, odpowiedział malec, nie taki ja głupi jak ty, dam sobie zawsze radę.

I niedobry chłopiec podkradłszy się pod stragan, przy którym przekupka drzemała, ściągnął z niego zręcznie dwie bułki i kiełbasę, a dając je Wicusiowi, rzekł:

— A co, widzisz?

— Cóż to ukradłeś? zapytał go sierota.

— No, to i cóż? odrzekł hultaj.

Dziękuję ci za ten przysmak, odpowiedział Wicuś, odtrącając bułkę i kiełbasę podaną sobie przez małego złodzieja, wolę umrzeć z głodu, jak dławić się kradzionemi bułkami.

Antoni wykrzywił mu się, pokazał język i sunąwszy ze zdobyczą w boczną ulicę, stanął na jej rogu i począł zawijać spokojnie tłustą kiełbasę, od czasu do czasu pokazując figę Wicusiowi stojącemu przed straganem. Stał tak biedny, zgłodniały chłopak, przyglądając się ru-

mianym bułkom, gdy nie mógł stłumić w sobie dokuczliwego głodu, który go już do płaczu pobudził, przystąpił do straganu, przy którym ocknęła się drzemiąca przekupka, i rzekł do niej:

— Moja dobra pani, już drugi dzień nie jém, bo nie mogę sobie mimo chęci zarobić na kawałek chleba, by nim głód zaspokoić; nikt bowiem nie kupił odemnie piasku, który noszę. Bądź więc pani tak dobrą i daj mi bułkę, bo chyba przyjdzie mi umrzeć z głodu, a jak sobie zarobię, wierzajcie, że natychmiast należność wam odniosę z podziękowaniem.

Przekupka ujęta szczerością poczciwego chłopaka wypytała się, czy prawdę mówi, i dała mu po tym examinie kilka bułeczek, mówiąc:

— Ponieważ jesteś tak poczciwy, że wolisz prosić niżli ukraść, jak to drudzy robią, przychodź tu zawsze gdy jeść nie będziesz miał sobie za co kupić, a ja cię żywić będę na przyszły rachunek.

Podziękował Wicuś i zjadł owe bułeczki ze smakiem, i tak kilkanaście mu dała owa przekupka, bo jakoś nic zarobić sobie nie mógł. Ale raz przyszedłszy przed stragan z wesołą miną, rzekł:

— Przyszedłem uiścić się wam z długu, udało mi się przedać kilka woreczków piasku, mam pieniądze, i co się należało za bułki, położył w tryumfie przed przekupką.

— Weź sobie te pieniądze, odrzekła dobra kobieta, z rozczuleniem spoglądając na Wicusia, schowaj je sobie na potem; kilką bułkami, które ci dałam, nie zubożyłeś mnie—samam na świecie, niewiele mi też potrzeba, i możesz śmiało, ile razy głód ci dokuczy, przyjść pod ten stragan i wziąć bułkę, która tu zawsze leżeć dla ciebie będzie. I postępuj tak zawsze uczciwie mój chłopcze, a przyjdzie godzina, w której będziesz miał chleba dostatkiem, że go i łaknąć nigdy nie będziesz i dla drugich ci go starczy.

— O! jeżeli to kiedy nastąpi, odpowiedział Wincenty, to wtedy nie będziecie siedzieć przy tym straganie, bo się z wami podzielę bodaj najmniejszym kawałkiem chleba. Ale nim to nastąpi moja matulu, weźcie te pieniądze, które u was przejadłem, bobym więcej nie śmiał przyjść tu po bułkę i w największym głodzie; ja młody i zdrów, jako tako zarobić sobie potrafię, nie wstydżeby było dla mnie patrzeć na wasze stare ręce i żyć ich ciężką pracą?

I przekupka przyjąć musiała zapłatę, tak nalegał malec, obiecawszy zawsze w potrzebie przychodzić do niej po bułki. I biedny dzieciak włóczył się po ulicach z piaskiem; aż raz idąc mostem za jakimś panem, który wyjmując chustkę z kieszeni surduta, wyrzucił woreczek z pieniędzmi, Wicuś podniósł go, a zabiegając z przodu nieznajomemu, zapytał:

— Nie zgubiłeś pan czego?

Nieznajomy złapał się za kieszeń i rzekł:

— Oj! zgubiłem szafirowy woreczek, w którym było dużo pieniędzy.

— Oto jest, rzekł chłopczyna, podając go nieznajomemu.

Ze zdumieniem spojrzał pan ów na obdartego chłopca, wynędzniałego z głodu, a niemogąc się z nim rozmówić na moście przed hałasem i naciskiem jadących, kazał iść za sobą. Na ulicy Senatorskiej weszli do kamienicy, i niebawem Wicuś wprowadzony został do pokoju bogato przybranego. Tu pan ów począł się wypytywać, skąd jest, czy ma rodziców, czem się trudni; chłopak na wszystko roztropnie odpowiadał. Zapytał go nareszcie, czy ma ochotę do handlu, gdyż będąc kupcem, może mu w tem pomódz. Wincenty z całą otwartością odpowiedział mu, że ma, i że już raz był w handlu, i jak z niego wydalony został—podobała się kupcowi ta jego otwartość, ale zapytał:

— A prawdaż to, żeś tego talarka nie przywłaszczył sobie?

— Prawda panie, odpowiedział śmiało Wincenty, bo gdybym go był ukradł wtedy, nie oddałbym ci dziś tego woreczka, któryś zgubił.

Zawstydził się kupiec z takiej odpowiedzi, która go tem więcej przekonała o dobrych skłonnościach dzieciaka, i zawoławszy najstarszego subjekta z handlu, oddał mu go pod szczególną opiekę, z obowiązkiem sposobienia do handlu korzennego. W pół roku pan Zejdlic (tak się nazywał ów kupiec), przekonawszy się o dobrem postępowaniu Wincentego, kazał go uczyć ze swoim synem Andrzejem, który go szczególniej polubił.

W dwudziestym roku życia syn Maciejowej był już najstarszym subjektem w handlu swe-

go opiekuna z nieograniczonem zaufaniem tegoż, i sowitem wynagrodzeniem. Umarł nareszcie pan Zejdlic, a sklep jego objął syn jego Andrzej jedynak. Przyjaźń szczera i serdeczna łączyła go z Wincentym. Młody dziedzic lubiący zabawy i wyjaździki, zdał sklep zupełnie na niego. W rok po śmierci pana Zejdlica, Andrzej wyjechał za granicę, gdzie miał spędzić lat kilka, cały swój majątek na czas ten oddając do wiernych rąk przyjaciela.

— Wiem, rzekł na odjezdnem, że mi wiernie dopilnujesz mego dobra.

Po wydaleniu się Andrzeja strzegł majątku jego Wincenty jak oka w głowie, żyjąc skromnie i nie wychodząc prawie ze sklepu. Niektórzy jego towarzysze dowiedziawszy się, że on objął zarząd handlu bezwarunkowo na czas nieobecności pryncypała, handlu słynącego dobremi winami i różnego rodzaju przysmakami, zbiegali się doń, przymawiając do śniadanek:

— Dałbym wam, odpowiadał Wincenty, ażeby to wszystko było moją własnością, ale to cudze.

— Alboż o tem wiedzieć kto będzie, odpowiadali smakosze.

— Moje sumienie i Bóg, odpowiadał wtedy subjekt; przed temi dwoma sędziami czyn mój się nie kryje.

W lat trzy po wyjeździe Andrzeja, odebrał Wincenty wiadomość, że ten za parę tygodni wraca do domu; zajął się zaraz zebraniem kapitałów, ciesząc się obfitym zbiorem, gdy oto nadspodziewanie dowiaduje się, że Andrzej w powrocie do kraju w Dreznie zmarł nagle. Ciężki to był krzyż dla poczciwego subjekta, który go zaledwie dźwignąć podołał.

Wkrótce jeden z rodziny młodego pana Zejdlic obywatel ziemski, jako prawy spadkobierca zgłosił się po majątek; przy odbiorze jego poznał wierne i uczciwe usługi Wincentego, który z całą akuratnością oddawał mu spadek.

— Mój szanowny Panie, rzekł do niego po skończeniu obrachunków, widzę, jak jesteś prawy i sumienny, należy ci się zatem nagroda, i oto ją masz, rzekł, kładąc kwotę pieniężną przed synem Maciejowej.

— Nie mam prawa do tej nagrody za spełnioną powinność. Prawda, dopełniałem akuratnie obowiązków moich, grosz przywłaszczony nie obciąża mojego sumienia, ale w tem nic nadto nie zrobiłem, jak to, co było moją powinnością. Daruj pan zatem, że tego datku przyjąć nie mogę, sądziłbym się bowiem zapłacony za to, co mi nakazywały sumienie, wdzięczność i przyjaźń. Dlatego zostaw pan nagrodę, dodał wskazując Niebo, Temu, co tam mieszka, a Onosądzi, czylim jej godzien.

Po wydaleniu się ze sklepu zmarłego przyjaciela, który nowonabywca wyprzedał zupełnie, Wincenty wszedł w nowe obowiązki w jednym ze znakomitych domów handlowych w Warszawie, za sowite wynagrodzenie; ubiegano się bowiem o niego, tak była znana jego sumienność, choć dopiero liczył lat dwadzieścia pięć. Gdy wyszedł z handlu pana Zejdlica, miał uzbieranych ze znakomitej pensyi, którą tam pobierał i hojnych podarków tak ojca jak i syna, dziesięć tysięcy złotych, bo nie robił wydatków niepotrzebnych, składając grosz do grosza, pamiętał o przyszłości; nadto nie miał komu udzielać, bo matka niebawem po wydaleniu jego z domu umarła. Z polepszeniem tylko losu swego, pamiętał zawsze o przekupce, która go w dniach próby bułeczkami karmiła. Zawsze z dniem odebrania skromnej pensyjki szedł do niej i kładł na straganie przeznaczoną kwotę, a gdy ciężka słabość nie dozwoliła jej zarobku pilnować, Wincenty kosztem ją swoim leczył, a po chorobie, gdy już nie było sił pędzić dni na słocie i zimnie, obsadził ją w szpitalu, zawsze udzielając przeznaczoną pensyjkę na wygodniejsze życie, i upodobania podeszłej staruszki; gdy zaś zmarła, zajął się pogrzebem, poczem grób dla wszystkich obojętny zwiedzał niekiedy, by odmówić modlitwę za pokój duszy ubogiej kobiety, co życie strawiła w pocie i pracy, ścieżkę jego rosząc łzą boleści i upokorzenia.

W nowym obowiązku ofiarowano mu znaczną pensyę roczną tak, że po latach kilkunastu dołączywszy dawny swój zasób do nowo uzbieranego funduszu, mógł pomyśleć o założeniu na siebie sklepu, w czem mu wiele pomógł kredyt, jaki sobie zjednać potrafił. Dowiedział się Wincenty, że jeden z kupców na Piwnej ulicy chce zbyć swój handel; zamierzył pójść do niego, co niebawem uskutecznił. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy w tym kupcu poznał owego subjekta z Pragi, który

go intrygą ze sklepu wydalił. Nieuczciwym sposobem uzbierał on sobie po cudzych handlach pieniędzy i nabył sklep, płacąc zań kradzioną gotówką. Ale jak to mówią: że male parta, idzie do czarta, to jest, że ze źle nabytych zbiorów zły duch tylko korzysta, otóż kupiwszy sklep, zbankrutował, i na starość szukać musiał w łasce drugich gorzkiego kawałka chleba. Bez obawy kupił Wincenty ów handel, ufając łasce Bożej i czystym bez śniedzi złego nabytku pieniądzem. Tak też się stało; zkąd niesprawiedliwy wyszedł z kijem i torbą, sprawiedliwy w krótkim czasie złożył kapitał. Stanąwszy dobrze w interesach, począł nasz poczciwiec myśleć o żonie, bo mu już oto dobiegała czterdziestka, do której brakowało tylko lat trzy niespełna.

(Dokończenie nastąpi).

Świętobliwe niewiasty Polskie.

I

KATARZYNA WAPOWSKA.

—

Córka Kacpra Maciejowskiego koniuszego Koronnego, i Anny Czuryłówney kasztelanki Przemyślskiej. Wychowana była skromnie. przez pobożną matkę, która wpajała w jej młodociane serce bojaźń Bożą i miłość bliźniego. W siedmnastym roku życia, za wolą rodziców i wyborem własnego serca, złączoną została ślubem małżeńskim z Andrzejem Wapowskim, naówczas podkomorzym Sanockim, następnie kasztelanem Przemyślskim. Obdarzona rzadkim rozsądkiem, dobrocią, i pobożnością, wzorem była w pożyciu małżeńskiem, godnie spełniając święte obowiązki: żony, matki, pani i obywatelki. Z anielską słodyczą znosiła nieraz nieco surowy charakter męża, który w zapędzie uniesienia rozbrajany jej cierpliwością, mawiał:

Nie żonę, ale anioła mam w domu.

W roku 26 życia została wdową; mąż jej bowiem w gonitwach z poswaru od Samuela Zborowskiego zabitym został. Probował tak Bóg nieraz cnoty świętobliwej niewiasty, to stratą męża, to śmiercią ukochanych dziatek; wszystko znosiła z chrześciańską pokorą mawiając:

Pan dał, Pan wziął, jako Mu się podobało, niech imie Jego będzie błogosławione.

Gdy ją zaś obmowa jaka dotknęła, wywołana częstokroć nikczemną zazdrością, na ubolewanie wtedy przyjaciół odpowiadała ze spokojem i uśmiechem:

My tu czyńmy, co panu Bogu powinniśmy, oni nagadawszy się, mówić przestaną.

Po śmierci męża, postanowiła żyć do zgonu we wdowim stanie. To też bogate stroje złożywszy na ofiary kościelne, sama w czarne przybrała się szaty, których do końca życia nie zdjęła z siebie. Nie dziką rozpaczą i bezrozumnem wyrzekaniem czciła ona pamięć ukochanego męża, lecz piękna, bogata, w kwiecie młodości dochowała mu wiary, życie poświęcając modlitwie, dobrym uczynkom i kształceniu jedynego syna Stanisława, by również wychowaniem go na dobrego obywatela i chrześcianina unieśmiertelnić pamięć jego ojca.

Pobożna ta pani często odbywała piesze pielgrzymki z domownikami do miejsc świętych. Codziennie wieczorem rachowała się z sumieniem, za popełnione przez dzień winy żałowała serdecznie, przez co z każdą godziną stawała się lepszą. Żyła wstrzemięźliwie, posty ściśle zachowywała. Dom jej w Dynowie na Rusi prowadzony skromnie, obfity był we wszystko, otwarty dla gości, dla przyjaciół wylany, dla ubóstwa szczodry; stół nie wystawny, przy którym codziennie ubogi znajdować się musiał. Część w nim mieszkania zajmowali biedni, niedołężni, starcy, chorzy poddani, których sama opatrywała, leczyła, usługiwała im. Również sieroty opuszczone, których obrała się matką, znajdowały w nim schronienie i macierzyńską opiekę. Z jej szczodrobliwości młodzież uboga w szkołach Jarosławskich pobierała nauki, dla której dom przy kościele wystawiła i potrzeby onej wszystkie zaopatrywała. Starała się na probostwa w dobrach swoich umieszczać zdolnych i przykładnych księży, aby ci pracowali korzystnie nad oświatą wiejskiego ludu, czuwali nad jego moralnością i zbawieniem.

W obszernych majątkach swoich przestrzegała ściśle, aby świąt robotą nie gwałcono, i w karczmach na nieprzyzwoitych schadzkach i pijaństwie nie trawiono; a gdy jej przedstawiano, iż to będzie z ujmą jej dochodów, odpowiadała:

Byle tylko Bóg nie był obrażony, ja o ziemskie dobra nie stoję.

Pani ta obdarzona wytworną nauką i dowcipem, szanowaną była powszechnie. Król

Stefan Batory, jeden z najdzielniejszych królów polskich, Jan Zamojski kanclerz, mąż powagą i rozumem znamienity, Wawrzyniec Goślicki biskup Poznański, sławny nauką i szczególnemi przymiotami duszy, otaczali ją poszanowaniem.

Na lat dziesięć przed śmiercią Bóg nawiedzał ją często ciężkiemi chorobami, w których dziwną okazywała cierpliwość. Nareszcie dwadzieścia kilka lat wdową przeżywszy, zmarła r. 1596, opatrzona SS. Sakramentami. Umierając, przepraszała domowników, zobowiązawszy również przed śmiercią księdza, aby na jej pogrzebie toż samo publicznie uczynił. Pochowana w Dynowie.

Testamentem własnoręcznie spisanym przekazała klejnoty swoje na monstrancyę; zaleciła w nim również synowi, którego nauką i przykładem na wzorowego obywatela wychowała, aby wymurował kościół w Dynowie. Za życia żaś spełniając wolę męża swego, we wsi Chyżynie wzniosła kościół, ozdobiwszy go ołtarzami i bogatemi aparatami.

Karty dziejów ojczystych bogobojną tę niewiastę jako wzór ludzkości i dobroczynności zapisały ku wiecznej pamięci. Jezuita Szymon Wysocki w książce przez siebie napisanej: „*Kształt pobożności*“ wydanej roku 1606, żywot tej matrony polskiej dokładnie opisał.

Przepis na atrament.

do pisania i kopiowania, oraz na farbę drukarską.

P. Unterwood na posiedzenia Towarzystwa sztuk i rzemiosł w Londynie miał wykład bardzo zajmujący o sposobach przyrządzenia najlepszego atramentu do pisania i kopiowania czyli odciskania, oraz farby drukarskiéj; które to sposoby dla użytku czytelników naszych poniżéj podajemy.

1 no. *Atrament do pisania.* Weź gałek galasowych najprzedniejszych (z Alepu) i mocz je w wodzie miękkiéj dystylowanéj przez kilka godzin, dopóki dobrze nie zmiękną; po wyjęciu galasu pozostaw roztwór (to jest wodę nasyconą galasem) przez trzy lub cztery dni w zupełnéj spokojności, po czem zléj go ostrożnie, lub przecedź do szklanego naczynia, tak, aby płyn był zupełnie czysty; wtedy dodaj do niego nieco gummy senegalskiéj w najlepszym gatunku. Gdy się gumma należycie rozpuści, wrzuć kawałek żelaza dobrze oczyszczonego, i kłóć dopóty naczyniem, dopóki płyn nie nabierze koloru zupełnie czarnego; przecedź znowu i dodaj czystego wyskoku z Kampeszu (de Campêche). (1)

Atrament tak otrzymany jest nadzwyczaj czarny, nawet w chwili pisania, spływa wszakże z pióra należycie, nie przebija i nie pleśnieje nigdy. Jeżeli papier przeznaczony do pisania umoczony będzie poprzednio w roztworze *chromianu potażu*, kampesz połączy się z chromianem i wszystkie pory papieru wypełnią się osadem czarnym, przez co pismo stanie się niestartem i tak trwałem, iż się oprzeć zdoła większej części odczynników chemicznych.

2o *Atrament do kopiowania*, nie zawiera ani galasu, ani żelaza; jest to prosto *wyciąg* czyli *extrakt* z kampeszu, który wszelako przysposabiać należy bardzo ostrożnie, ażeby go wpływ powietrza nie uszkodził.

3o. *Inny Atrament do kopiowania.* Jest także extraktem, więcej wszakże *skoncentrowanym* (zgęszczonym) kampeszu. Przy pomocy prassy i cienkiego papieru, umoczonego w roztworze chromianu potażu, atrament nro 1, wyda jednę tylko kopię, atrament nro 2. sześć do 8, wreszcie atrament nro 3, dwadzieścia do 30.

4o. *Atrament do drukowania*, czyli farba drukarska; przyprawy jego składają: 1o. Oléj lniany bardzo czysty, otrzymany małem ciśnieniem i z pierwszego wytłoku siemienia, wolny od wszelkiéj obcéj tłustej materyi, który przegotować należy starannie. 2o. mydło zwyczajne bladożółte i zwykłe suche przyprawy, lecz w najlepszym gatunku. Z połączenia tych ingrediencyj utworzy się pokost, do którego dobrze jest dodać, mianowicie do robót delikatniejszych, oleju palmowego lub z orzechów kokosowych, także bardzo czystego. Barwa czy to czarna, czy kolorowa, wtedy tylko będzie doskonałą, kiedy się ją otrzyma z połączenia jak najdokładniejszego farby z oczyszczonym olejem skalnym, co jedynie osiągnąć można za pomocą długiego i pracowitego rozcierania na kamieniu.

(1) *Kampesz* czyli *drzewo kampeszowe* (Haematoxylon Campechianum), jestto gatunek drzewa Amerykańskiego, bardzo twardego, z rodzaju zwanego *Błękiciec* lub *Błękitne*, albo *krwiste drzewo* które przywożone w małych kawałkach, służy do farbowania niebieskim kolorem.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 2 (14) lutego 1859 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*